



Jerzy Bożyk przy pracowniach rzeźbiarskich w Krakowie

Skandalista rowerzysta

Z Jerzym Bożykiem, jazzmanem, pianistą, autorem kontrowersyjnych tekstów piosenek, przewodnikiem górskim i niepełnosprawnym cyklistą poruszającym się na specjalnym trójkołowcu, rozmawia Jakub Terakowski

Trudno byłoby Panu obejść się bez roweru?

– Nie mógłbym bez niego normalnie funkcjonować. Trójkołowiec zastępuje mi nogi, które straciłem.

Jak to się stało?

– Miałem naczynia. Wszystko zaczęło się od niewinnego zranienia, które nie chciało się goić. Potem wdał się w nie gronkowiec, żaden antybiotyk nie zadziałał. Lewą nogę amputowano mi powyżej kolana w 2005 roku, a prawą poniżej, dwa lata później, na obu mam teraz protezy. W pewien sposób wszystkiemu winny jest rower, bo obydwie pechowe upadki wydarzyły się w czasach, gdy jednośląd zastępował mi komunikację miejską. Po raz pierwszy przewróciłem się na oblodzonej ulicy w Krakowie, a potem w Dolinie Będkowskiej. Można zatem powiedzieć, że najpierw przez rower straciłem nogi, a później – dzięki rowerowi – odzyskałem.

Mój Boże! Przecież wielu z nas przewróciło się podczas jazdy, niekiedy kalecząc się przy tym, lecz te upadki nigdy nie miały tak dramatycznego finału!

– To jakaś moja przypadłość genetyczna, która nasiliła się z wiekiem. Nie uniknąłbym amputacji, niezależnie od tego, czy zraniłbym się, spadając z roweru, czy ze schodów.

Widuję Pana jeżdżącego na rowerze po Krakowie przez cały rok.

– Mam terenowe opony, żadna pogoda mnie nie zatrzyma. Bywam także w wielu innych miastach. Skuter inwalidzki do pociągu się nie mieści, a trójkołowiec bez problemu. Wchodzi do każdego wagonu na pomost przy toalecie, muszę go tylko przypiąć, żeby się nie przesunął. Natomiast niestety do autobusu nie mogę go już zabrać, bo luki bagażowe są zbyt małe.

Czy przed wypadkiem też jeździł Pan tak dużo na rowerze?

– Tak, jednoślady zawsze były mi bardzo bliskie, miałem kilka motorów i mnóstwo rowerów. Jestem przewodnikiem PTTK, jeszcze przed amputacją zdarzało mi się prowadzić wycieczki piesze, jadąc

na rowerze. A teraz wybieram się z grupą turystów do Doliny Będkowskiej – oni na piechotę, a ja na siodełku.

Czy to nie nazbyt trudne?

– Da się, już to sprawdziłem. Na wiosnę poprowadziłem w ten sposób dwie wycieczki. Nie górskie, rzecz jasna, lecz szlakami Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Po leśnych ścieżkach poruszam się równie sprawnie jak ludzie zdrowi. Oni używają nóg, a ja roweru. Poza tym nic nas nie różni.

A jak turyści reagują na widok niepełnosprawnego przewodnika na trójkołowcu?

– Przyzwyczaili się już do tego, bo grupa od lat jest niemal ta sama. Wcześniej widywali mnie na bcyklu, teraz na trycyklu, więc zmiana nie jest poważna. Prowadzę wycieczki w ramach akcji „Nie siedź w domu, idź na wycieczkę!”, którą od lat organizuje Koło Grodzkie PTTK wraz z „Gazetą Krakowską”. Dwukrotnie byłem prezesem tego koła. Mam uprawnienia przewodnika terenowego PTTK na całe województwo małopolskie oraz Szlak Orlich Gniazd.

Recital w pubie Awaria



FOT. Z. X. JAKUB TERAKOWSKI

Brał Pan też udział w Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej.

– O, tak! Jedenaście razy! Jestem oficerem „Strzelca” w stopniu pułkownika. Przed wypadkiem chodziłem na marsze, a od pięciu lat uczestniczę w nich na rowerze trójkołowym. Jako jedyny niepełnosprawny i jedyny cyklista.

Jak długa jest trasa marszu?

– Nieco ponad 100 kilometrów, z krakowskich Oleandrów do Kielc, dokładnie tą samą drogą, którą w 1914 roku przemierzyła Pierwsza Kompania Kadrowa. Idziemy sześć dni, czyli nieco dłużej niż oni.

A ile kilometrów może Pan przejechać w ciągu dnia?

– Tyle, ile przeciętny turysta może przejechać. Czyli 40 bez problemu.

Widuje się też Pana na krakowskich masach krytycznych...

– Teraz uczestniczę w nich nieco rzadziej, ale przed dwoma laty nie opuściłem ani jednej.

Czy biorą w nich udział także inni niepełnosprawni na rowerach?

– Nie wiem, ja nigdy nie spotkałem żadnego. ▶



FOT. JAKUB TERAKOWSKI

Otwierał Pan również Święta Cykliczne...

– Owszem, inaugurowałem dwa kolejne Święta Cykliczne występami w Klubie Fabryka na Zabłociu oraz pod Nowohuckim Centrum Kultury. To rewelacyjny pomysł Krzysztofa Szafranca. Na koncerty przyjeżdżałem, rzecz jasna, na rowerze trójkołowym, wzbudzając aplauz publiczności.

A jakie to były koncerty?

– Jestem piosenkarzem, śpiewam i akompaniuję sobie na klawiszach. Dzisiaj też jeszcze idę do pracy: od wpół do dwunastej do drugiej w nocy występuję w Piwnicy pod Baranami. Potem jadę na koncert w Bieszczady i czym prędzej wracam do Krakowa, bo podczas Letniego Festiwalu Jazzowego mam recitale w Piwnicy niemal codziennie. Występuję po wykonawcach uczestniczących w festiwalu, ostatnio posłuchać było można Wojtka Karolaka i Jarka

Nad Rudawą, w drodze do domu

Śmietanę, poprzednio gościł u nas Krzysztof Ścierański. Miłośnikom jazzu te nazwiska są równie bliskie jak wielbicielom dwóch kótek Włoszczońska, Lang i Szurkowski.

Gra Pan swoje utwory?

– I swoje, i standardy jazzowe, i evergreeny. Czasem trochę country, niekiedy coś z Elvisa.

Gdzie jeszcze poza Piwnicą można Pana posłuchać?

– W niedzielę występuję w pubie Awaria, w poniedziałki w Zaraz Wracam, a w środy w Zaraz Wracam Tu na krakowskim Kazimierzu.

Pamiętam Pana z festiwalu Bieszczadzkie Anioły...

– Występowałem tam przez pięć kolejnych lat razem ze Starym Dobrym Małżeństwem. Niestety, ostatnio zmienili się organizatorzy i już nas nie zapraszają.

Czy ma Pan w swoim repertuarze piosenki turystyczne?

– Znalazłoby się kilka. Od dawien dawna otwieram przegląd piosenki turystycznej YAPA na Politechnice Łódzkiej. Zawsze zaczynamy od hymnu „Studenckie lato”, do którego muzykę napisałem wspólnie z Antkiem Czekalskim. Refren jest następujący:

Studenckie lato,
Ogniskami rozjaśnione.
Studenckie lato,
Pod namiotem zimny sen.
Studenckie lato,
W którą tylko spojrzeć stronę,
Tam młode twarze,
tam młodzieńczy słyszę śmiech.

I oczywiście na YAPĘ też zabiera Pan rower?

– Oczywiście, przecież bez niego musiałbym się poruszać na wózku inwalidzkim. Dawniej jeździłem trabantem, ale musiałem go sprze-

dać, bo rozlatywał się tak, że już nikt nie chciał go reperować. Teraz podróżuję więc pociągami, a na występy do Szwecji i Danii płynęłam promem.

Ktoś Panu towarzyszy, pomaga?

– A po co? Wsparcia potrzebuję tylko do załadowania roweru i wypakowania z wagonu, a w tym zawsze mogę liczyć na kolejarzy. Jeszcze nigdy mi nie odmówili. W przeciwieństwie do większości – ja bardzo sobie chwalebę PKP. Nie narzekam też na komunikację miejską, bo coraz więcej u nas autobusów niskopodłogowych, do których mogę wsiąść, wjeżdżając po klapie. Gorzej sytuacja wygląda w tramwajach, gdyż nawet w tych najnowocześniejszych muszę prosić kogoś o pomoc.

A krakowskie chodniki? Nie są dla Pana utrapieniem?

– One wołają o pomstę do nieba! Już nie wspominam o dziurach, ale wysokie krawężniki na przejściach dla pieszych to skandal! I nie o mnie tu chodzi, bo po Krakowie jeżdżę na inwalidzkim rowerze sam jeden. I nie o rowerzystów, bo im zgodnie z przepisami generalnie jeździć po chodnikach nie wolno, lecz nade wszystko o niepełnosprawnych oraz o kobiety z wózkami. Czy Pan wie, jak czasem trzeba się nagimnastykować, aby wjechać z pasów na chodnik? Krawężniki powinny być ścięte tak, jak na dobrych drogach rowerowych. W ubiegłym roku startowałem w wyborach do rady miasta. Szkoda, że nie wyszło, bo jednym z moich postulatów było właśnie usuwanie barier architektonicznych. Kilka lat temu w mojej przychodni wybudowano doskonały podjazd dla wózków, z którego i ja korzystam. Ale, aby tam się dostać, muszę pokonać czternastocentymetrowy krawężnik. To za wysoko nawet na zwyczajny rower, o moim trójkołowcu w ogóle nie wspominając.

Preferuje Pan drogi rowerowe?

– Rower zastępuje mi nogi, jeżdżę nim tam, gdzie muszę, nie mogę kapryścić. Korzystam z chodników,

ścieżek lub jezdni w zależności od potrzeb. Na rowerze straciłem kiedyś prawo jazdy, więc teraz bardzo dbam o przestrzeganie przepisów. Z pubu zawsze wracam do domu chodnikiem.

Jeździ Pan na rowerze z promilami we krwi?

– Według przepisów, nie jeżdżę na rowerze, lecz chodzę.

A cóż to znaczy?

– Mój trójkołowiec zarejestrowany jest jako pojazd rehabilitacyjny, więc jeżdżąc nim po chodniku, jestem traktowany jak pieszy. Mogę zatem po piwie wybrać się na spacer.

Ale prawa jazdy nie odebrano Panu zapewne za przekroczenie szybkości?

– No cóż, nie ma się czym chwalić, lecz opowiem ku przestrodze. To było jeszcze przed amputacją, grałem w pewnym spektaklu te-

nie 100 kilometrów zapłacę dwa złote.

Jak to rozumieć?

– Tyle kosztuje naładowanie akumulatora, wystarczające do pokonania 100 kilometrów. Dodatkowo muszę jeszcze zamontować dwie zamknięte klatki – na silnik oraz na akumulator, aby chronić je przed kradzieżą. Szkoda, że nikt w firmie instalującej silnik o tym nie pomyślał. Może jestem nieco przewrażliwiony, ale wolę dmuchać na zimne, rower zastępuje mi nogi, więc i chronię go jak własne nogi. Do kompletu mam jeszcze centymetrowej grubości łańcuch, którym przypinam mój pojazd, ilekroć go gdzieś zostawiam.

Myśli Pan, że ktoś mógłby ukraść rower inwalidzki?

– O, święta naiwności! Menele nie mają żadnych skrupułów, wymontują części, potną ramę, sprzedadzą na złom i kupią sobie za to skrzynkę jabola. A ja, niestety, mam pecha do złodziei, przed amputacją ukradziono mi sześć kolejnych rowerów.

Poza silnikiem elektrycznym niczego już nie brakuje w Pana trójkołowcu?

– W moim nie, ale widziałem kiedyś w Niemczech rower dwukołowy, o którym marzę. Miał dwa małe, boczne, tylne kółka – jak w rowerkach dziecięcych – które unosiły się w górę podczas jazdy i opadały przy hamowaniu, umożliwiając zachowanie równowagi na postojach. Z nimi mógłbym wsiąść na każdy jednoślada.

Na koncerty do Piwnicy pod Baranami też jeździ Pan trójkołowcem? Tam są strasznie strome schody!

– Nie, zazwyczaj dzwonię po taksówkę, do której zabieram wózek inwalidzki, bo tylko nim mogę zjechać na dół. I oczywiście potrzebuję przy tym pomocy. Natomiast, jeżeli zdarzy mi się wybrać Pod Barany rowerem, muszę prosić, aby zniesiono mnie na krzesło.

Czy skomponował Pan jakiś utwór o rowerach?

– Jeszcze nie, ale wszystko przede mną... ●

Do tej pory nie skomponowałem utworu o rowerach, ale jeszcze wszystko przede mną...

atralnym, po premierze poszliśmy na drinka... Wracałem do domu nad ranem, na rowerze, pustymi Plantami, zatrzymała mnie policja... Sprawa skończyła się w sądzie, zapłaciłem 1000 złotych grzywny i straciłem prawo jazdy.

Czy Pana rower został skonstruowany specjalnie dla Pana?

– Nie, to seryjny trójkołowiec firmy Markus. Nie ma żadnych dodatkowych modyfikacji dedykowanych niepełnosprawnemu użytkownikowi. Nie ma nawet przerzutki, bo tylna zębatka osadzona jest wprost na osi. Hamulce są najprostsze, szczękowe, koła miał dwudziestki, ale z przodu założyłem większe, o średnicy 24 cali, bo dzięki temu jest stabilniejszy. Wymieniłem też siodełko – na wygodniejsze, z oparciem. Teraz na przednim kole zamierzam zainstalować jeszcze silnik elektryczny, wspomagający napęd podczas jazdy pod górę. Producent twierdzi, że za przejecha-